

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 14 listopada 1914 roku.

№ 46.

Andrzej Strug.

## „Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-  
skie i wydawców za-  
strzeżone.

40

Powieść z obcego życia.

XX.

Dziwnie szybko, iakby tego dnia o wiele godzin wcześniej, niż zwykle, uczynił się błądy, przezrzysty świt.

Tak wydało się ludziom w łodzi.

Nie pamiętali godziny katastrofy, nie pamiętali czasu, spędzonego w chaosie paniki, wysiłków, walki. Nie wiedział z nich ani jeden, kiedy, jakim cudem, za czyją sprawą udało im się w zgielku i tłoku, w ciemnościach, wśród trzasku walących się kominów i druzgotanych łodzi na pochyłym, zalewanym przez fale, przewróconym kadłubie statku — znaleźć miejsce w zbawczej łodzi.

Jak w trudzie niezmiernym, długo, przewyciężając niepodobieństwo, odbili wreszcie od tonącego statku? Jak, zatapiając wciąż przez fale, żeglowali, przebijając się przez gęstwą odłamków i szczątków i przez tłum ludzi tonących, z którymi długo i ciężko walczyć musieli o życie?...

Gdzieś to wszystko utonęło w niepamięci. Pochłonął te sprawy nadludzki wysiłek i groza ciągle wiążącej nad nimi zaguby.

Dopiero budzacy się dzień, pierwszy brzask błogosławionej jasności wyrwał rozbitków z niemego osłupienia. Myśl, zdziwiała w ciągu strasznej nocy, przestała wpatrywać się uparcie w widma śmierci, ziewające zewsząd z ciemności.

Wraz ze światłem dnia zrodziła się nadzieja ratunku. Odważył się skołatany, nierzytomny człowiek patrzeć w dal, szukając osłony i pomocy.

Dziwnie cicho było w łodzi, która przeciążona odbijała nocą od tonącego statku. Zaledwie kilka postaci majaczyło w szarym półmroku. Już oddawna nie padło jedno słowo. Ustały nawet jęki i błaga-

nia przemarzniętych na śmierć ludzi.

Shurman, zdrewniał z zimna, zatulony w narzuconym naprędcie w chwili alarmu płaszczu, który już pokrył się skorupa lodu, dygotał w drobnym dreszczu, dyszał szybko i porywcz. Do kolan sięgała mu lodowata woda. Już zupełnie nie mógł mówić.

Usiłował wydusić z siebie iakieś słowo. Koniecznie, pod grozą śmierci, musiał coś rozkazać. Dreszczem przejmowało go głębokie milczenie. Nic, tylko chłopot fali i bełtanie się wody na dnie łodzi.

W drugim końcu, u dzioba, dojrzał grupę ludzi tak skulonych do kupy i wciśniętych w siebie nawzajem, że zdawali się być raczej zwaltem jakichś tobołów, niż żywymi ludźmi.

Pośrodku, w najszerszym miejscu łodzi, siedział na ławie murzyn w strzepach koszuli, bosy, półnagi i drugi maitek w pasie korkowym. Ci grzebali nieudolnie wielkimi wiosłami, a raczej kiwali się w takt fali, iakgdyby tylko udając, że wiosłują. Słychać było szybkie, świszczące ich oddechy.

Na dnie łodzi, w wodzie, ludzie leżeli pokotem, iakgdyby śpiąc z zanurzonemi głowami. To niezmiernie zdziwiło Shurmana. Ocknął się, iakgdyby spał, i dopiero w tej chwili zbudził się ze snu.

Obejrzał się niespokojnie. Tuż za nim, na wzniesieniu siedział skulony sternik. Oburacz kurczowo trzymał żelazną sztangę od steru. Miał na sobie pasiata koszule, pas korkowy i nic więcej. Strzep iakiejs derki spadał mu z nagich kolan. Shurman długo nie mógł się oderwać od straszliwego uśmiechu, z iakim patrzył na niego trup. Nagle sternik poruszył się.

Shurman zerwał się w jednej chwili i stanął na zmartwiałych no-

gach. Wsparł się o burte. Zza pleców sternika i iakby z popod niego gramoliła się z trudem iakąś postać.

Był to człek zatulony w futrzaną czapę z nausznikami, w grubej kurcie. Mimo to szczełwał zębami i wymawiał z trudem.

— Oj, co za noc... Co za noc... Wszycy wymarзли... Pan jesteś jeden, a ja drugi... Okropne zimno... Jeść, o, jeść... Tamci wciąż jeszcze u wiosła... Gole to, a całą noc się trzymało... Patrz pan, iak bysk murzynowi schudł przez jedna noc... Jak noc przetrzymał, to już wyżyje... Gdyby nie wiosłował, iużby tu leżał w wodzie, iak reszta... Oj, Boże! oj, Boże!...

Murzyn pochylił się ku nim silnie, przeważył się na wiosła i plusnął głowa prosto w wodę. Nie podniósł iuż tej głowy. Drugiego, siedzącego obok, wiosło wciąż spychało z ławy. Opierał się niedołężnie, długo. Wreszcie mocniejsza fala targnęła wiosłem i człowiek spadł na innych, którzy zalegali dno.

Czynił się biały dzień. Shurman dostrzegł wokoło, iak okiem sięgnął, dływające deski, beczułki, kręgi ratunkowe, krzesła, wypłatanę leżaki, iakiejs papiery. Wszystko to plasało na falach. A wśród szczątków...

Plasając w podrzutach, krażyły wszędzie wystające z wody głowy ludzkie. Czasami fala odsłoniła czyjeś ramiona, pas bezpieczeństwa, zapęty pod pachami. Czasami przetrzcąło kogoś do góry nogami, rozciągało na chwilę na wodzie, poczem ciało wracało do równowagi, ukazywała się znowu głowa.

Zdawało się, że głowy szukają się i gonią nawzajem po morzu.

Shurman przymknął oczy. Zaledwie stracił z widoku okropny, wstrząsający obraz — zimno stało się tak przeraźliwe, tak nie do wytrzymania, iuż gniebiace, że Shurman uczuł, iż umiera.

Reszta przytomności, iak przez sen, wiedział, że natychmiast coś należy uczynić. Coś komuś rozkazać. Ach, mózż wypowiedzieć jedno słowo! Wystarczy jedno słowo.

dopóki tu jest jeden żyjący człowiek. Inaczej...

Jedyny żyjący człowiek wciąż gadał. Jakając się, drżącymi z zimna ustami, wymawiając niewyraźnie, potykając słowa, wciąż jednak gadał.

— Hej, panie... Hejże... Chyba wszyscy, prócz nas, wyginęli... Tyłu bogaczy z nami jechało... Tyłu strasznych milionerów... Ot, tak im się te głowy trzęsa!...

Głos jakby się oddalał i przybliżał. Chwilami Shurman już nie słyszał zupełnie. Bezładna była jego żelazna wola. Naprawdę ostry, przenikliwy rozum nakazywał. Na marne szło wszystko, co tak niezłomnie, oczywiście, wiedział: ani ręce, ani nogi, ani usta już nie słuchały rozkazu. Usiłował podnieść ciężkie powieki, przywarte, związane jakąś nieprzepartą siłą. Jednym spojrzeniem mógłby wypowiedzieć wszystko...

Passując się ze sobą w ostatnim, przedśmiertnym wysiłku, uczył na ustach czyjeś dotknięcie. Ktoś mu rozchyłał wargi, podważał zaciśnięte zęby. Krztusił się, ale pił, pił długo, chciwie.

Po jakimś czasie dosłyszał szepcanie. Potem jakby mówiono półgłosem. Zaczął rozumieć.

— Za tę jedną butelkę zabijali by się ludzie, gdyby tylko po nocy mogli obaczyć... Leżała kochana, na nas czekała... Niech Bóg do swojej chwały dopuści tego, co ja tu ostawił...

Co, lepiej panu? Co? Rusz się pan, bo zamrznie pan!... Pójdę jeszcze szukać... Hej, będzie dobrze! Morze się wygładza, wiatr ucicha! Hej, panie, będziemy żyć... Ja na dziesięć tysięcy będę skarżył kompanię... Myślisz pan, że dadzą?... Muszą dać!

Shurman czuł w sobie chaos i zamęt myśli nairóżniejszych. Życie wracało. Myślał jeszcze z trudem, jakby wciąż, ustawicznie usypiając. Słyszał wyraźnie. Za chwilę sam przemówi...

Otworzył oczy. Nieznajomy siedział przed nim i dopijał reszty, wysoko przechyliwszy butelkę. Shurman chwycił go za rękę:

— Dawaj...

— Niema nic... Dostałeś swoje... Puszczaj, ty...

— Dai jeszcze... Zimno... Umieram...

— Niema!

I Shurman odepchnięty upadł bezsilnie i siadł w wodzie na trupach. Przez chwilę zbierał siły, mocował się z sobą, wreszcie spojrzał w oczy człowiekowi.

— Słuchaj, ty... Ja jestem Shurman! Tom Shurman! Wiesz?

Człek przysunął się do niego i stali tak twarz w twarz, trzymając się za siebie i chwycając się na fali.

— Tom Shurman, ten z New Orleans... To ja... Nagrodzę cię...

— Jaki Shurman? Który?! To pan sam? To prawda? Święty Boże! To pan?!

Shurman nie mógł więcej mówić. Ale człowiek natychmiast wydobyl nowa, pełna butelkę, ujął go pieczołowicie za głowę i poił, jak piastunka.

— Powoli... Potrochu... Już! Potem znowu będzie można odrobine.

Poteżny organizm Shurmana przewyciężył już śmierć. Człuk Shurman, że powraca z tamtego świata, od nicości ku swojemu dawnemu życiu. Powoli, krok za krokiem, niestatecznie jeszcze i w niezmiernym wysiłku przypominał sobie:

....Atlantic" — burza — góry lodowe — noc — żona — gdzie ona? syn...

Ale nie o tem należało myśleć. Już wiedział. Jedyna na teraz rzecz, to straszliwe zimno. Tego mrozu w kościach, tego okropnego bólu już nie mógł dłużej znosić.

Długo jakąś coś i szeptał. Dałby znać jednym ruchem, gdyby miał choć okruszynę sił. Wszystko wyczerpał z siebie w paru słowach, które był o sobie przed chwilą powiedział. Wreszcie człowiek zrozumiał.

— Aj nie! O, drogi panie!... Radby ja z duszy, ale jakże? Jak sam ostanie?... Toż to śmierć...

Shurman rozgniewał się. Groźnie, wyniośle spojrzął oczy martwe jeszcze przed chwilą.

— Dawaj czapkę... kurte...

— Ai, panie... Toż zmarzę...

— A iak ja zamrznę... Nic... Nic... A jak oddasz... Słuchaj! Milion dolarów... Słyszysz ty? Milion!...

Człowiek przestraszył się bardzo. Zaczął coś iakać, za głowę się porwał. Nie wierzył.

— Coś pan powiedział! Powtórz jeszcze raz!

Shurman zbierał siły. Całym wysiłkiem woli spieszyl się, żeby zdażyć, zanim upadnie. Tu — w tę wodę, w której ciasno od trupów...

— Milion dolarów! Przysięgam... Na głowę syna... Staraj się... Ratuj mnie... Tom Shurman dotrzyma... Bo to głupstwo dla mnie... Wiesz? Ty wiesz? Mam dwa i pół miliarda...

Wyszeptawszy to nieznajomemu twarz w twarz, Shurman zachwiał się. Człek chwycił go w ramiona i ostrożnie ułożył na ławie. Oblakana radość świeciła w jego oczach. Gorąco mu się zrobiło ze szczęścia. Bez namysłu zerwał czapkę, zdjął kurte. Rozpowił Shurmana ze zlodowaciałego palta, nałożył nań futrzana kurte, zawiął i zaczął naciągać Shurmanowe palto.

Ale widząc, że bogacz zmarszczył brwi i mruknął gniewnie, człek, bez jednego słowa, otulił go jeszcze w palto, dał popić z butelki, poczem, uklękawszy, zaczął rozcierać mu nogi.

Gadał uporczywie, iak maniak.

— Pana szczęście i moje szczęście, zem był w całym statku najmądrzejszy... Jak ino traciło nas moc-

niej jakimś odłamkiem, zerwałem się, ubrałem, iak trza, i na górę czekać... Bo wiedziałem, że jakby co gorszego, noga stamtąd nie ujdzie w łoku, w tym ludzkim gwałcie... Aż po jakiejs pół godzinie...

Shurman przymknął oczy i nie słuchał. Doznawał niewystowionej rozkoszy budzącego się ciepła. Niebawem będzie już mógł poruszyć ręką, będzie mógł myśleć, stanie się soba. Teraz wypoczywał.

— Milion!... Boże miłosierny... Toż naprawdę milion!... Ja mam milion... Ja...

Niedługo jednak gadał. Bo jakże wyrazić taką straszną radość? Skulił się i myślał o tem, iak w zamęcie, iak pijany.

Niebawem zaczął się kręcić po łodzi, szukać. Wynalazł kawał zmoczonego żagla, twardego, iak blacha. Określił się, przycichł. Shurman słyszał, iak mu szczekały zęby.

I jeszcze się roił, dźwigał, stękał, trupy, ścigał z nich byle co — bo wszyscy byli to ludzie nie odziani, porwani ze snu. Przycichł, zrywał się znowu. Wreszcie ucichł zupełnie.

Nieprzebrane szczęście, los nie do wiary grzały ludzką duszę. W ostatnim swoim śnie miał to, o czym nie zamarzył, i zapomniał o wszystkim, zapomniał o zimnie, zapomniał o śmierci...

Gdy Shurman otworzył oczy, uirzał z poza burty, ponad wierzami wód w trzech stronach oceanu trzy pasma dymów. Odetchnął z ulgą. Odrazu poczuł, iak przybrały w nim siły. Stał na nogach i wsparty o burte, patrzył chciwie. Zdjął go głód życia i radością uderzyła w niego pewność swojego życia.

.....

Już po godzinie dźwignęli go ludzie i przenieśli troskliwie na swoją łódź. A kiedy szukali jeszcze życia w rozbitkach, podnosząc ciała i zagładając w martwe oczy, rzekł niecierpliwie:

— Prędzej tam! Do okrętu! Tu same trupy.

KONIEC.



Wszystkie gromy, nieszczęścia wrażego napadu  
Wypadło poznać tobie, o polska kraino,  
Wróg pragnął, by po tobie nie zostało śladu,  
I dzielił się już zgóry twą prawą dziedziną.

Straszne hordy teutońskiej było uderzenie,  
Spokojny kraj do szczytu został spustoszony,  
Lecz młot niemiecki wykuł nasze zjednoczenie,  
Na dzwony Częstochowy biją Kremlu dzwony.

Nie trzeba czczych frazesów, sztucznych porozumień,  
Żaden węzeł już silniej nas złączyć nie zdoła,  
Bo węzłem tym jest wspólnie krwi przelanej strumień.

O Polsko! choć jęk płynie i dziś z twego łona,  
Już anioł zmartwychwstania na gody cię woła  
I z gruzów, co Cię kryją, wstaniesz odrodzona.

Przełożył K. B.



Hall Caine.

## Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

40

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział LXXXVII.

— Nu, a gdzie pani mieszka? — zapytała żydówka.

Odpowiedziałam, że na Bayswater, pozorując moją obecność w East-Endzie jakąś pierwszą - lepszą wymówką, bo instynktownie czułam, że powinienam zamilczeć o dziecku.

— To się na nic nie zdało; trzeba mieszkać bliżej — zauważyła, a gdy m rzekła, że właśnie tego sobie życzę i czy nie wie o jakim pokoju w sąsiedztwie, pokazało się, że u niej są dwa pokoje do odnajęcia.

Poszliśmy więc obejrzeć je. Oba były pod strychem. Jeden kosztował dwa szylingi tygodniowo, ale był ciemny i ponury, z widokiem na podwórko, na którym lokatorowie całego domu suszyli bieliznę; drugi, droższy o szylinga na tydzień, aczkolwiek także lichy i nędznie umeblowany, miał okno na ulicę; wzięłam go więc natychmiast, pytając, kiedy się mogę sprowadzić.

— Choćby zaraz — odrzekła żydówka. — Wszystko gotowe.

Tak więc nazajutrz rano pojechałam moją poczciwą, Walijską gospodynię (która zafrasowała się trochę, gdy m jej powiedziała, co zamierzam robić), ucałowałam zabezczaną Emilkę i, urządziwszy się jako-tako na nowem mieszkaniu, wzięłam się gorliwie do pracy.

Zapewne, był to dotkliwy upadek z wysokiego konia moich ambitnych marzeń, ale nie pozwalałam sobie myśleć o tem. Byłam blisko Ilford i mogłam codziennie widywać Izabelkę.

Izabelka! Izabelka! Izabelka! Teraz, gdy Jurka już nie stało, wszystkie moje nadzieje i obawy, uczucia i myśli ogniskowały się w tem jednym imieniu, będącem imieniem mego dziecka.

Mój pracodawca był rosyjskim żydem i nazywał się Izrael Abramowicz.

Przybył do Anglii w czasie religijnych prześladowań w Świętych miastach Rosyi, osiedlił się, jako krawiec, w nędznej stancyjce na White-Chapel; wynajął sobie maszynę Singera, pracował z niezmordowaną gorliwością dla magazynów z tandetą i w ciągu dwudziestu lat stał się najbogatszym cudzoziemskim żydem w całym East-Endzie; przyjmował nawet zamówienia z wielkich sklepów West'u, bo, jak się później dowiedziałam, uchodził za najbieglejszego w swoim fachu ze wszystkich żydowskich „kamizelkaczy”.

Nie przeszkadzało mu to być jednocześnie głęboko religijnym na swój sposób. Ściśle, surowo, przesądnie niemal strzegł przepisów swej ponurej wiary. Był przytem sławnym talmudystą i jednym z filarów synagogi.

Modlił się, a jednocześnie napędzał wszystkich do pracy, nie wyłączać żony, która, gotując obiad, prasowała kamizelki.

Dom jego był od dołu do góry warsztatem, będącym w ciągłym ruchu od rana do nocy, a czasem od nocy do rana, gdy można było dostać robotnika na zmianę; ja też w tym warsztacie nie byłam próżnującą kółkiem.

Co rano Abramowiczowa przynosiła ogromny stos kamizelek do mego pokoju i co wieczór zabierała je na dół, obliczywszy przedtem z niesłychaną szybkością mój zarobek i wypłaciwszy mi w ten sam błyskawiczny sposób należność.

Z końcem pierwszego tygodnia

zarobek ten wyniósł dziesięć szylingów. Byłam uszczęśliwioną; ale po opłaceniu mieszkania i pożywienia nie pozostało mi nic na utrzymanie dziecka. To też następnego tygodnia pracowałam dłużej wieczorami i zarobiłam czternaście szylingów. Ale że i to nie wystarczało, postanowiłam wstawać wcześniej.

— Rano najlepiej się pracuje — mówiłam sobie.

Na nieszczęście, będąc wciąż osłabioną, zasnęłam często, aż przyszła mi myśl ustawienia łóżka tuż pod oknem i niespuszczania rolety, by pierwsze brzaski dnia, padając mi na twarz, budziły mnie same.

Sposób ten powiódł się znakomicie i przez resztę lata i początek jesieni wstawałam równo ze świtem, dzięki czemu zarobek mój urósł do szesnastu szylingów, a gdy nabyłam jeszcze większej wprawy, nawet do osiemnastu.

Ale to już była najwyższa suma i musiałam bardzo się oszczędzać, by z końcem miesiąca uciąć drugiego suwerena dla Olivera i odłożyć coś na ubranie dziecka, gdy zacznie z tego, co miało, „wyrastać”, a czego, jak mawiała pani Oliver, „tylko co było patrzeć”.

Musiałam pracować niezmordowanie dla podłożenia wszystkiemu; skąpiłam sobie nawet czasu na kupno żywności i jedzenie, pomimo, że na Mile End Road pełno było dookoła sklepów z już przyrządzonymi wiktuałami. To też po upływie pierwszego tygodnia urządziłam się w ten sposób, iż przynoszono mi wszystko, co było potrzeba, rano, i mogłam wcale nie wychodzić z domu, tylko pracować, pracować bez wytchnienia. Twarde to było życie, nie rozpadałam się jednak nad sobą. Myśl, że czynię to wszystko dla mego dziecka, słodziła m trudy. Poczucie, iż ta dziecina całkowicie do mnie należy, że nikt, prócz mnie, nie kłopotczy się o jej potrzeby, sprawiało mi niewysłowioną rozkosz.

To też śpiewałam w owych czasach; nie w trakcie dnia, kiedy w naszym domu wrzało i huczało, jak w młynie, ale wczesnymi rankami, zanim elektryczne tramwaje zaczęły klekotać, przakupnie wrzeszczeć, a cała ulica rozbrzmiewać niustającym tupotem ludzkich nóg, drepcących w codziennym kieracie walki o byt. Wówczas otwierałam narozciwie okno i śpiewałam różne rzeczy, najczęściej jednak włoską kołysankę, bo, będąc sama jeszcze tak bardzo dziecinna, wyobrażałam sobie, że Izabelka leży przy mnie na łóżku i że ją tą piosenką usypiam.

Jedynym moim audytoryum był skowronek w klatce po drugiej stronie ulicy (może i ja byłam tak samo w klatce, choć nie zastanawiałam się wtedy nad tem) i praczki z Przytułku dla kobiet, wychodzące zrana o czwartej do zaięcia w West Endzie i dwie stare wdowy naprzeciwko, zszywające biblie, co było, jak mnie objaśniła Miriam, najniebezpieczniejszą robotą, więc biedaczki musiały wstawać tak wcześnie, jak ja.

Otoczenie to nie było bardzo wesołe, jednak czas jakiś czułam się zupełnie szczęśliwą w tym moim pokoiku pod strychem.

Dziecko widywałam codziennie. O szóstej przerywałam robotę i szłam do Ilford, skąd wracałam o dziewiątej, nie mówiąc nikomu, gdzie idę, o co zresztą nikt mnie i nie pytał.

Zazwyczaj w tamtą stronę, dla pośpiechu, jechałam tramwajem; wracałam jednak piechotą, pomimo znacznej odległości, wmawiając w siebie, że po przechadzce będzie mi się lepiej spało.

Ach! jakież to rozkoszne były wieczory!

Może nie wszystko szło u Oliverów podług moich chęci, lecz umiałam to sobie wyperswadować. Poznawszy bliżej opiekunkę mojej dzieciny, przekonałam się, że jest niedbała i nieporządna, a choć usprawiedliwiałam ją, czyniąc odpowiedzialnym za to jej męża tyrana, to jednak czułam, że oszukuję samą siebie i że powinnam słuchać tajemnego głosu, który mi szepcze:

„Twoje dziecko nie ma należytej opieki“.

Czasem zdawało mi się, że Izabelka nie była kaptana, lecz to było tylko pretekstem, żebym ją sama wykapała.

Czasem bielizna jej i sukieneczki były przybrudzone, ale to mi nastęrczało przyjemność uprania ich.

Czasem widziałam, że fłaszeczka jest niedomyta a mleko niedość świeże, lecz jakaż to była radość umyć ją samej i ugotować innego mleka.

Wprawdzie przychodziło mi niekiedy na myśl, że za to wszystko, co robię, płacę przecież pani Oliver, lecz, mój Boże!... tak mnie to

cieszyło, że mogę zakrzętać się trochę koło mojej dzieciny!

W ten sposób mijaly tygodnie i miesiące. Nie liczyłam ich, mierząc czas jedynie podług stopniowego rozwijania się maleńkiej.

Och! jakaż to była cudowna rzecz śledzić to wylanianie się jej duszyczki i myśli z ciemności i milczenia niemowlęctwa na świat dźwięków i światła.

Gdy po raz pierwszy drobne usteczka mego aniołka wyblablały wyraz „ma-ma-ma“, myślałam, że oszaleję ze szczęścia. Żadna najcudniejsza muzyka nie sprawiła mi nigdy takiego niebiańskiego wrażenia!

Ale najmilszymi były mi te wieczory, kiedy mularz napytał sobie biedy z policją za „poturbowanie“ kogoś „Pod Słońcem“ i żona musiała iść wybawiać go z kłopotu. Wówczas, mając kuchnię wyłącznie do swego rozporządzenia, tańczyłam po niej albo z Izabelką na rękę, albo sama, aby ją zabawić, śpiewając walca, podczas gdy woda gotowała się w kociołku, a świeżo uprane koszulki suszyły się przy ogniu.

Och! prawdą jest, że niema tak ciemnej otchłani, którejby nie rozjaśnił promień słońca; takim promieniem słońca było dla mnie dziecko!

Dziecko przywodziło mi niustannie na myśl Jurka. Pożerając je oczyma, odnajdywałam codzien jakieś nowe podobieństwo w niem do niego w oczach, w rysach, w głosie, a nadewszystko w uśmiechu i śmiechu, przypominającym bulgotanie wody, wylewanej z butelki.

Opowiadałam o nim Izabelce, tak zupełnie, jakgdyby mogła mnie rozumieć, mówiąc jej, jakim wielkim i sławnym człowiekiem był jej ojciec i jak nas kochał obie, a raczej, jak byłby nas kochał, gdyby żył dłużej.

Było w tem dużo dziecinady, ale nie ze wszvstkiem. Nieraz potem myślałam, że może aniołowie Pańscy, którzy wiedzieli przecież, co się w rzeczywistości z Jurkiem dzieje, szepotali mi te bzdurstwa do ucha, jako sposób podtrzymania mojej miłości dla niego, zupełnie, jakgdyby żył i był przy mnie.

Uczucie to spotęgowało się, gdy Izabelka miała już pięć miesięcy, spotęgowało się w sposób, o którym zaledwie śmiem wspomnieć, wydać się bowiem może śmiesznym, a przecież było to coś tak wzniosłego i świętego.

Oto myśl, która przed urodzeniem dziecka żywiłam, że Bóg zsyła mi je, aby mnie pocieszyć i utworzyć nierozzerwalne, żywe ogniwo pomiędzy mną a moim ukochanym zmarłym, przedzierzgnęła się w olśniewającą, radosną pewność, że dusza Jurka wcieliła się w dziecko.

— Więc Jurek nie umarł — mówiłam sobie — nie umarł naprawdę, ponieważ żyje w dziecku.

Nie umiem wypowiedzieć, jakim pokrzepieniem, jakim dobro-

dziejstwem, jaką otuchą stała się dla mnie ta błogosławiona myśl, jak gorąco modliłam się, by to drobne ciałko, w którym dusza Jurka znalazła sobie siedlisko, mogło wyrosnąć pięknie i zdrowo i stać się godnym jego; iak spotężniało we mnie poczucie odpowiedzialności za tę podwójnie ukochaną istotę, za którą w potrzebie nawet życie własne oddać byłam powinna.

— Tak, tak, nawet życie własne — powtarzałam sobie.

Może było w tem coś chorobliwego, jakiś stan gorączkowy, wpływający z mojej ogromnej miłości, ciężkiej pracy i upadku sił fizycznych. Nie zastanawiałam się nad tem.

Jedno tylko miało dla mnie znaczenie, a tem czemś była zmiana mego duchowego nastroju. Jeżeli dotychczas myślałam, że Jurek odszedł odemnie tak daleko, iż tylko Wieczność połączyć nas zdoła, to teraz czułam, że wraca do mnie i że z każdym dniem jest bliżej.

### Przypisek Jerzego Conrada.

Moja ukochana, szlachetna Mary bliższa była prawdy, niż sądziła.

W tym czasie właśnie dażyłem ku niej rzeczywiście całą siłą najszybszego parowca.

Skoró tylko dostaliśmy się na pokład „Scotii“ i przywitani z towarzyszymi, zaczęliśmy wielkim głosem dopominać się o listy.

Było po kilka dla wszystkich, a całe stopy dla mnie; pobiegłem więc coprędzej do mojej kajuty i przerzucałem gorączkowo koperty, szukając śladu tej drobnej, delikatnej raczki, która pisywała moje listy i moje przemówienia.

Ku memu najwyższemu przeżeniu nie było go, co sprawdziwszy, wpakowałem wszystkie listy do szuflady i zajrzałem do nich dopiero po paru dniach. Były to wyłącznie powinszowania od członków mego komitetu, od wydawcy mego dziennika i od Królewskiego Towarzystwa Geograficznego; wszystkie na swój sposób bardzo miłe i pożądane, ale dla człowieka z łaknącem sercem niby owoce Martwego Morza.

Wróciwszy na pokład, zastałem wszystkie twarze rozpromienione, bo wszyscy dostali dobre wiadomości z domu: jeden odziedziczył jakiś spadek, drugiemu urodziły się bliźnięta, innemu wyzdrowiał chory ojciec; radowali się wiec, jak sztabaki; odczytywali mi urywki z listów swoich żon, iak to „mało się nie zapłakały ze zgrzyoty“, wyczytawszy tę straszną wiadomość o zatonięciu „Scotii“, a potem zato byłoby „wszystkich całowały i ścisnęły“, gdy przyszło zaprzeczenie.

Nadrabiając miną, udawałem, że i ja również otrzymałem wyborne wiadomości i że wszystko idzie iaknajlepiej. Trudno mi jednak było grać dalej tę komedię, zwłaszcza kiedy ludzie z załogi opowiedzieli

mi, co się działo podczas, gdyśmy brnęli w śnieżnych bezkresach.

Węc naprzód „Scotia“ spóźniła się z przybyciem nie dlatego, żeby nasze telegrafy bez drutu źle działały, lecz że ją uszkodziły nawałnice koło Macquarie Island.

A potem przeczytałem w gazetach sprawozdania o zatonięciu „Scotii“, sprawozdania zbyt może pochopnie podające niedostatecznie stwierdzoną wiadomość, lecz zawierające tyle pochlebnych słów żalu o mnie, iż mogłem się tylko rumienić i prosić Boga, aby mi kiedyś na nie zasłużyć pozwolił.

Byliśmy w odległości pięciu dni żeglugi od Nowej Zelandyi, lecz dla mnie były one tyluż wiekami. Bezustannie zadawałem sobie jedno i to samo pytanie, na które, oczywiście, nie mogłem znaleźć odpowiedzi:

— Czemu nie napisała ani słówka, by mnie powitać wracającego jakby z tamtego świata?

Wreszcie szóstego dnia zrana ujrzelśmy zdale mętne zarysy upagnionej ziemi i od tej chwili stałem, jak słup, przy dziobie statku, wyęzając wzrok ku wschodowi i myśląc:

— Nim noc zapadnie, będę miał od niej wiadomość.

Na molo w Port Lyttelton oczekiwał nas ogromny tłum ludzi z gorącym powitaniem. Treacle, ujrawszy te zbite masy głów, rzekł:

— Boże świąty! nie wyobrażałem sobie, żeby tyle luda było na świecie!

A Sullivan, ujrawszy jakąś smukłą postać pod parasolką, wykrzyknął takim głosem, jakgdyby był astronomem, odkrywającym nową planetę:

— Komendancie! Komendancie! *Dziewczyna!*

Nim jeszcze wpłynęliśmy do portu, grono znamienitych gości i uczonych przybyło na pokład, mnie jednak więcej obchodziły telegrafy, które mi jednocześnie wręczono; więc porwawszy je, pobiegłem do mojej kajuty i rozrywałem jeden po drugim, jak sęp swą zdobycz, patrząc przedewszystkiem na podpis i myśląc:

— O, Boże! Co ja tu wyczytałem!

Nie było nic od mojej najdroższej! Same zaproszenia na obiady, na odczyty, na. Bóg wie, co, tylko ani słowa od tej, która mi była droższa nad świat cały.

To upewniło mnie jeszcze bardziej, iż ten głos, wzywający mnie do powrotu tam, pod 88-ym stopniem szerokości, nie był złudzeniem, postanowiłem więc zostawić statek w Nowej Zelandyi, aby był w pogotowiu do następnej naszej wyprawy, a samvm wsiąść w Sydney na pierwszy parowiec, idący w stronę Anglii.

Poczciiw mieszkańcy Port Lytteltonu nie chcieli nas puścić. Musiałem wykrecać się wszelkimi sposobami od ich gościnności, jako

najważniejszy wzgląd przytaczając tęsknotę tych dzielnych moich żuchów, nie wspominając o własnej. Pożegnali nas uroczystie muzyką i chóralnymi śpiewami.

W Sydney ta sama historia: te same tłumy, te same serdeczne powitania, te same owacye, te same zaproszenia i te same odpowiedzi na nie; wreszcie odjazd pierwszym pasażerskim statkiem, jaki podnosił kotwice.

W drodze „do świata“ wystosowałem rodzaj telegraficznej odezwy do dziennika, który zainicjował naszą wyprawę (bardzo niezgrabnie zredegowanej, bo nie było komu jej poprawić), donosząc o tem, czegoś mi zdołał dokonać, a czego było, niestety, tak mało, i co zamierzamy z pomocą Bożą dokonać.

— Przeczyta to i dowie się w każdym razie, że wracam, — myślałem.

Ale żeby się w tym względzie upewnić, wysłałem dwa osobiste telegrafy, jeden do niej na zamek Ra a drugi do moich rodziców, prosząc o odpowiedź do Port Saidu.

Podczas przeprawy zaczął mnie znów dręczyć ów dziwny sen o lodowcu nad przepaścią i takim mnie lekiem napełnił, że gdyśmy zawinęli do Port Saidu i istny deszcz telegramów spadł na mnie, nie śmiałem ich otworzyć.

Zawezwałem więc O'Sullivan'a do mojej kajuty, prosząc, aby mi je odczytał, i omal nie pożarłam go wzrokiem, gdy je jeden po drugim rozrywał.

Nie było nic od mojej najdroższej! Nic również z domu!

O'Sullivan, w przekonaniu, że się tak niepokoję o moich rodziców, pocieszał mnie, zapewniając, że starszkom ani w głowie telegrafować i że z pewnością otrzymam list.

I tak się stało.

Przebyliśmy dwa nieskończenie długie dni w Port Saidzie, gdzie parowiec brał węgiel na resztę podróży, i już prawie w chwili podniesienia kotwicy przyszedł do mnie list. O'Sullivan, któremu go doreczono, bo mnie na pokładzie nie było, wpadł do mojej kajuty, jak bomba.

— A co! nie powiedziałem, że będzie list do ciebie! I, na świętego Patryka, nie omyliłem się! Masz i ciesz się!

List był od mego oica i musiałem — wstyd mi wyznać — przezwyciężyć się, żeby nie okazać rozczarowania i przeczytać jego zawartość.

List pełen był rodzicielskiej miłości; oboje starszkwowie rozplýwali się nademna: widocznie dumni byli ze mnie ponad wszelką miarę („wszyscy tylko o tobie mówią, mówią, a dzienniki nasze tylko o tobie oisza“), ale nic w tem wszystkim o Mary, a raczej gorzej, niż nic, bo takie zdanie:

„Musiałeś słyszeć o tem, co się stało na Zamku Ra a. Bardzo to smutne, ale w takiej szczęśliwej

chwili nie pora rozpisywać się o tem“.

Nic więcej! Same tylko wynurzenia czułości, które (Boże mi przebac) byłbym oddał chętnie za jedno wyraźne słowo o mojej ukochanej.

Bardziej, niż kiedykolwiek, upewniony, że jakaś katastrofa spotkała tę naidroższą istotę, zatelegrafowałem raz jeszcze do niej, tym razem adresując do domu jej oica (nie wiedząc, jaką krzywdę jej tem wyrządza); mówiłem sobie bowiem, że aczkolwiek człowiek ten poświęcił własne dziecko swej niepołamanej ambicyi i pysze, nie był przecież z kamienia, i z pewnością przyjął pod swój dach biedaczkę, jeżeli niegodziwy mąż wypędził ją z domu. Zadepeszowałem więc w te słowa:

„Proszę wiadomość, Malta. Trochę za przykro nie mieć dotąd ani słowa“.

Okrutny, nierozważny telegram! Bogu dzięki, nie otrzymała go.

J. C.

## Rozdział LXXXVIII.

Z każdym dniem trudniej mi było zamydlać sobie oczy na punkcie Oliver'ów.

Pewnego razu, przyszedłszy, jak zwykle, po szóstej, zastałem drzwi wchodowe otwarte, w kuchni nikogo, prócz mojej dziewczyny, siedzącej w kołysce i zabawiającej się paluszkami u nóżek; z góry zaś dochodziły mnie głosy Oliver'ów, rozmawiających (widocznie z umysłu) bardzo donośnie.

Rozmawiali o dziecku, z którym jest taki kłopot, że „człowiekowi nie daje spać w nocy, a w dzień wypędza go z domu“. I cóż za to mają? Tak dobrze, jak nic. Cóż „ta“ (to miałam być ja) myśli sobie, że ich dom, to jaki dobroczynny przytułek czy „filantropiejna instancja?“

Potem usłyszałam ciężkie kroki mularza na schodach i trzaśnięcie drzwi frontowych. Wyszedł, nie wchodząc do kuchni, bo wołał, aby żona sama załatwiła ze mną tę drażliwą sprawę.

Jakoż pani Oliver ukazała się niebawem, wzdychająca, ogromnie niby zdziwiona moim widokiem i zatrokana, czy aby nie posłyszałam, co tam mąż mówił na górze.

— Przemówiłam się trochę z Tedem i, prawie rzekłszy, poszło nam o paniusie.

Ted zawsze był przeciwny braniu dziecka na garnuszek; ona zaś bodaj że głupio zrobiła, nie posłuchawszy go, boć przecie każda kobieta dbać powinna o to przedewszystkiem, żeby jej mąż nie włóczył się po szynkach, dlatego, że mu dom z powodu tego ciąglego płaczu dziecka obmierzał; więc gdyby nie to, że się tak przywiązała do tego aniołeczka, jakby to było jej własne, to by mi je z pewnością oddała, ale tak by jej było ciężko, tak ciężko... więc może mogłabym płacić trochę

wiecej... Ted chciał siedem, ale ona przystanie na sześć... jeden szyling więcej tygodniowo nie zrujnuje mnie, a może uda jej się ułagodzić jakoś Teda.

Trzesłam się cała z oburzenia, słuchając tych wykretnych utyskiwań, ale cóż miałam począć?—ustąpiłam.

Ta ustepliwość moja pociągnęła za sobą opłakane skutki. Rozzuchwaleni Oliver'owie zaczęli mnie tak wyzyskiwać, że poprostu wpadałam w rozpacz.

Pewnego wieczora ktoś z sąsiadów wywołał panią Oliver do sieni i widocznie przyniósł jej jakąś przykrą wiadomość, bo po chwili biegła do kuchni, wystraszona, po kapeluszu i okrycie, mówiąc, że „coś się stało z Tedem“ i że musi „lecieć do niego“.

Wróciła po paru godzinach zapłakana i, łkając, opowiedziała mi, że Ted (podpiwszy trochę) „poturbował kogoś“ „Pod Stońcem“. Wskutek tego dostał się na polięwę i nazajutrz stawia go przed sąd, a ponieważ nie ma na zapłacenie kary, więc będzie musiał ją „odsiedzieć“ teraz właśnie, kiedy ma być strajk i strajkowy komitet dobrze by mu zapłacił.

— A cóż się stanie ze mną i z dzieckiem, kiedy mój mąż będzie w kozie? — dodała.

Czułam, że źle robię, lecz w o-bawie, aby dziecina moja nie została bez dachu, zapytałam, ile trzeba zapłacić, a dowiedziawszy się, że dziesięć szylingów i sześć pensów, dałam pieniądze, choć była to prawie wszystka moja gotówka.

Srogo miałam odpokutować za tę słabość.

Przez całą noc następną nie zmużyłam oka, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób zaprowadzić pewną równowagę pomiędzy memi dochodami i wydatkami, jak powiększyć nierwsze lub zmniejszyć drugie. Jedynę, co narazie mogłam uczynić, to wziąć tańsze mieszkanie. To też, gdy nazajutrz rano Abramowiczowa przyszła z kamizelkami, zapytałam ją z ciężkim sercem, czy tamten pokoik od tyłu jest wolny, a usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, przeprowadziłam się tam natychmiast.

Była to mało znacząca i dosyć nierozsądna oszczędność.

Pokoik był ciemny, ponury, tych samych jednak rozmiarów i podobnie umeblowany, jak tamten; przystroiliłam go więc, jak mogłam, memi skarbami, zawieszyszy różniane od Wielebnej Matki nad łóżkiem, a miniaturę mojej matki nad kominkiem, i usiłowałam wmówić w siebie, że jest to bardzo widny i przytulny pokoik.

Ale to było jeszcze nic w porównaniu z tem, co mnie czekało.

Mój pracodawca, żyd (choć musiał wiedzieć, że zapracowuję się bardziej, niż by mu na to prawo dozwoliło), nie mógł sobie darować,

gdy się przekonał, że zarabiam więcej „od sztuki“, niż gdyby mi płacił za dzień, i czuł tylko na sposobność powetowania sobie tej wrzecznej straty.

Niestety, sposobność nadarzyła się wrócić.

Pracowałam już u niego od trzech miesięcy, gdy nadeszły święta żydowskie: Nowy Rok, Sądny Dzień, Święto Kuczek, które, następując jedne po drugich, na cały szereg dni wytrąciły dom ze zwykłego trybu życia.

Abramowicz zwykle sam odwoził najlepiej płatne obstalunki do wielkich magazynów West Endu i przyjmował nowe zamówienia. Nie mogąc czynić tego z powodu świąt, ułożył sobie, że ja go zastąpię.

Nie miałam wcale ochoty podjąć się tego nowego obowiązku, bo choć żyd obiecywał mi zapłacić za to parę szylingów tygodniowo, to jednak iżła zarobiłabym przez ten czas więcej. Ale, gdy położył swój długi, włochaty palec na nosie i rzekł ze znaczącym uśmiechem:

— Okażesz się wdzięczna, zobowiąziesz tem swego pracodawcę, moje dziecko. — ustąpiłam.

Weszło w zwyczaj, że nietylko podczas żydowskich świąt, ale miesiace całe potem jeździłam tramwajami lub koleją z dużą czarną torbą za Piccadilly i Oxford Street aż do Marmurowego Łuku.

Jeździłam, gdzie mi wskazano, i czekałam, póki było potrzeba, tak, że w pełni krawieckiego sezonu zdarzało mi się bywać w West Endzie noca i wracać do domu dopiero nad ranem.

Niczego się jednak tak nie bałam, jak spotkania z siostrą Mildred. Ale nie. Wśród tych tysiącznych twarzy, które przepływały ulicami, ukazując się i niknąc, jak fale, w świetle księżycy, nie spostrzegłam nigdy tej tak dobrze znanej postaci.

Natomiast czego się nie napa-trzyły moje oczy! Jakie wstrząsające dowody nigdy nie zapełnionej przepaści pomiędzy bogaczami a nędzarami tego świata spotykałam na każdym kroku.

Te wspaniałe ekwipaże, te strojne damy, te białe pióra i brylantowe gwiazdy, migocące w elektrycznym świetle karet!

Raz, przechodząc koło jakiegoś teatru, słyszałam, jak stara kobieta, sprzedająca zanalki, mówiła, patrząc na damę strojną w gronostajowe okrycie i wsiadającą do automobilu:

— Ja kiedyś też tak paradowałam!

Zdarzało się, że, wracając na East End, kiedy już motorobusy przestały kursować, musiałam schodzić przez milczący Leicester Square lub pusty Strand do podziemnej kolei lub na przystań.

Wtedy widywałam gromady nędzarzy obojej płci, skulone w ciemnościach na stopniach, wiodących do rzeki, i przyglądające się wspa-

niałym pałacom i hotelom, pełnym eleganckich dam, które świeżo popowracały z teatrów i restauracji w swych ałasowych pantofelkach i jedwabnych pończoszczkach. I dziwiłam się niejednokrotnie, że te pieszczochy losu spać mogą spokojnie w puchowej, ukoronowanej pościeli, gdy tak niedaleko nich gnieździło się tyle bezdomnych, zgłodniałych istot.

Ale najbardziej wstrząsającym (aczkolwiek nie wywołującym żadnego odruchu litości był dla mnie widok publicznych kobiet, ulicznych, jak je nazywałam, które widywałam na Piccadilly pięknie postrojone i wymalowane, jak krażyły w pobliżu klubów, lub snuły się wzdłuż trotuarów, usiłując ściągnąć na siebie uwagę mężczyzn.

Nie widziałam nic rozczulającego w położeniu tych kobiet. Przeciwnie, przejmowały mnie niewysłowionym wstrętem i pogardą, i mówiłam sobie, że żadna pokusa, żadna nędza nie powinna skłonić kobiety do dopełnienia podobnego występku i takiego sponiewierania świętości płci swojej.

— Nic na świecie nie doprowadziłoby mnie do tego — myślałam — nic!

O, Boże! Jakże jeszcze nieświadoma byłam, co kobieta uczynić potrafi, gdy ma dziecko chore lub głodne i jest sama i opuszczona!

Nie spodziewam się usprawiedliwienia w niczyich oczach za to, co zrobiłam (a raczej zrobić zamierzałam) i teraz, gdy mam o tem pisać, ręka mi drży i jestem cała w ogniu.

Oby Bóg (który wszystko do tak pomyślnego końca doprowadzić raczył) ulitował się nademną i przebaczył i dodał mi sił do opowiedzenia tych strasznych chwil mego życia.

## Rozdział LXXXIX.

Moje wędrowki do West Endu miały ten fatalny skutek, że bywałam rzadziej w Ilford wieczorami, a nie mogąc nigdy związać końca z końcem, musiałam dobrze przysiedzieć fałdów w ciągu dnia przy robotcie, by jako-tako rosnące wciąż luki pomiędzy memi dochodami a wydatkami zapełnić.

To też pani Oliver, korzystając z mojej nieobecności, coraz bardziej zaniedbywała dziecko, które chudło i mizerniało.

Wkońcu zaczęło kaszeć, co przeraziło mnie bardzo. Pani Oliver lekceważyła ten kaszel, mówiąc, że to przejdzie wnet, byle tylko kupić jakichś ziółek czy pastylek, pobe-głam więc do apteki, a tam dano mi kojącą miksturę własnego wyrobu, upewniając, że będzie najsukuczniejszą i najodpowiedniejszą dla dziecka.

Jakoż kaszel ustał, ale trawienie się popsulo i dziecko widocznie ni-kło w oczach.

Nie znałam się wcale na dzie-

cięcych chorobach, ale instynktem mego przerażonego matczynego serca odgadłam, że dziecko potrzeba koniecznie świeżego powietrza, i błagałam panią Oliver, żeby z niem chodziła codziennie na spacer.

— Czy dziecko było dziś na dworze? — pytałam za każdym razem, na co pani Oliver, wybełkotawszy jakąś wykretną odpowiedź, zmieniała szybko przedmiot rozmowy.

Wreszcie, nie mogąc już znieść tego dłużej, wpadłam na nią ostro, a wtedy ona, rozplakawszy się, wyznała mi prawdę. Zalegali w opłacie komornego, gospodarz groził wyrzuceniem, nie śmiała więc wychodzić z domu, bo mógł ją napowrót nie wpuścić.

— Wszystko to przez Teda, proszę paniusi. Co zarobi, to straci „Pod Słońcem”. Nigdy nie był mężem, jak się należy, nigdy, nigdy, odkądżeśmy się pobrali. Mogłabym pracować i dać sobie radę bez niego, ale on wie, że go nie rzucę, bo go kocham. Tak, paniusiu, co ja poczną nieszczęśliwa, kiedy go kocham — mówiła dalej, wybuchając płaczem — i gdyby przyszedł do domu i zabił mnie, jeszcze bym go, kochając, całowała.

Nie umiem wypowiedzieć, jak mnie te słowa wzruszyły. Po raz pierwszy odczułam żagim położeńia tej biednej kobiety, która nie miała żadnych złudzeń co do charakteru swego męża, a mimo to, nie mogła przestać go kochać, i (wspomniawszy ze zgrozą moje własne małżeństwo) domyślałam, ile to milionów kobiet na świecie znajduje się w gorszych jeszcze, niż ja, warunkach.

Wróciwszy do siebie, zacząłam się rozglądać, co bym takiego mogła sprzedać, by dopomóc pani Oliver, a przez to dziecinie mojej zapewnić tę trochę tak jej potrzebnego świeżego powietrza.

Nie miałam już nic, lub tak dobrze jak nic. Oprócz różańca od Matki Wielebnej, który mógł być wart kilka szylingów, posiadałam tylko miniaturę mojej matki, oprawną w złoto i perły, lecz ta, po dziecku, była moim najdroższym skarbem na ziemi.

Widok jej w najcięższych chwilach życia dodawał mi sił i odwagi. A gdym pomyślała, ile ta najukochańsza, święta matuczna moja wycierpiała i zniosła dla mnie, gdy byłam dzieckiem, czułam, że za nic na świecie nie rozstanę się z jej podobizną.

— Nigdy — myślałam — nigdy: W żadnym razie!

W tydzień potem wybrałam się do Elford. Był to jeden z tych ciemnych, chłodnych wieczorów, właściwych londyńskiemu East Endowi, gdzie atmosfera, złożona z mgły, dymu i drobnego deszczu, przeimuje do szpiku kości i ciąży na ramionach, jak chomąto.

Ponieważ wszystkie moje wra-

żenia odnosiły się zawsze do dziecka, więc ten przykrv chłód nasunął mi myśl kupienia mu czegoś ciepłego. Wstąpiłam tedy do sklepu z trykotami i kupiłam parę wełnianych pończoszek i włóczkowy kaftanik.

Przyszedłszy do Oliver'ów, ujrzałam ku wielkiemu zdziwieniu dwóch obcych mężczyzn w kuchni, rozwalonych jeden na sofie, drugi na fotelu, palących mocny tytoń, i dziecko, kaszające nieustannie.

Nim zorientowałam się w położeniu, pani Oliver wywołała mnie do komórki i zamknawszy drzwi, objaśniła z płaczem, o co chodzi.

Chodziło o komorne. Gospodarz przysłał komornika, i jeżeli do jutra rana nie zapłaci półtrzecia funta szterlinga, ci dwaj ludzie sprzedadzą im rzeczy i wyrzucą na bruk.

— Sprzedadzą te graty z takim trudem kupione, zmarnują, zniszczą! — wołała, łkając. — I to dla półtrzecia funta szterlinga! O, mój Boże! Mój Boże!... Niechże mnie paniusia poratuje i pożyczycy.

Odpowiedziałam jej, że w żaden sposób nie mogę, lecz ona błagała w dalszym ciągu, pytając, czy może mam coś do zastawienia, i zaklinając, że oboje z Tedem będą sobie mieli za święty obowiązek fant ten wykupić.

Powtórzyłam jej znowu, że nie mam nic — starając się nie myśleć o miniaturze — gdy wtem zapłakane oczy pani Oliver dostrzegły kaftanik i pończoski, które trzymam z rzenia.

— To paniusia ma pieniądze na zbytki dla dziecka! A to ciągle świeże mleko, a to piękne ubrania, a mój biedny Ted bez dachu nad głową na taki psi czas zostanie! To się przecież żółć w człowieku przewrócić może! Niech pani zabiera swoje dziecko! Niech je pani zabiera zaraz, nim nas z domu wyrzucą.

Jeszcze nie skończyła wrzeszczeć, a ja już biegłam z powrotem do siebie. Nie mogłam przecież zabierać dziecka (choćbym nawet miała je gdzie zabrać) w taki dżdżysty, chłodny wieczór, bez narażenia jego zdrowia a może i życia.

Drżącymi rękoma, ze ściśniętym straszliwie sercem zdjęłam miniaturę ze ściany i owinęłam ją w bibułkę.

I znowu wybiegłam na ulicę i pedziłam szybko, nie bacząc na nic, prześlizgując się pomiędzy tramwajami.

Wiedziałam, gdzie idę. Szłam do fanciesza, którego sklepik miałam zawsze po drodze na West End.

Nie zapomnę nigdy ani tej nory, ani tego, co w niej przeżyłam. Musiała mi zostać po tem bliźna na mózgu, bo w tej chwili jeszcze widzę dokładnie każdy szczegół: ciemną izdebkę, wysoki kontuar, a za nim w głębi półki zapchane paczkami, jak w kolejowym brankardzie; widzę opasłą postać fanciesza, jego szeroka, wstrętną twarz, długie cy-

garo, które trzyma pomiędzy zębami w kacie zaślinionych ust; widzę moje własne, drżące palce, rozwijające bibułkę i podające mu miniaturę; widzę, jak on ją w swoich brudnych, ordynarnych rękach obraca, jak spogląda na nią lekceważąco, jakgdyby to była jakaś lichota, nie warta uwagi.

— Cóż mi to panna za jakiś stary bohomer przyniosła? Portret prababki, co? Hm! Niczego sobie mordeczka!

Czułam, że oczy płoną mi, jak żuzle. Przygryzłam usta do krwi, by nie wybuchnąć, i gdy mnie zapytał ile żądam za miniaturę, zdobyłam się na względnie spokojną odpowiedź, choć kurcz chwycił mnie za gardło:

— Dwa funty dziesięć szylingów.

— Nie mogę dać tyle — odrzekł fanciesz.

Stałam przez chwilę oniemiała, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, on zaś z pozorną obojętnością dorzucił:

— Dam dwa funty dziesięć szylingów, ale na dobre.

— To znaczy, że mam... sprzedać!

— A tak; albo panna zabierz, albo zostaw, jak sobie chcesz.

Nie zdołałabym nigdy wypowiedzieć, ile wycierpiałam w tej chwili. Myśle, że postarzałam o dziesięć lat przez te kilka minut, spędzonych w tej okropnej norze.

Ale wyszłam z niej wreszcie i podażyłam znów w stronę Ilford. Deszcz rozpadał się na dobre; dookoła mnie z ciężkim chłupotem znoszonego obuwia przesuwwały się skulone postacie, niedźnie odziane i zapewne głodne, a może bezdomne, w tę zimną, ciemną i dżdżystą noc; ja zaś powtarzałam sobie w duchu, że opiekuńcze skrzydła mojej pięknej matki z wvsokości nieba roztoczyły się nad moim dzieckiem, by mu udzielić schronienia.

Dobiegłszy do Oliver'ów zadyszana i spocona, mimo chłodu, położyłam trzy złote monety na stole: dwa suwereny i pół suwerena, by zapłacić przedstawicielowi prawa.

Ci już się byli roztasowali na noc, i byli, jak mi się wydało, nie tylko zdziwieni, lecz i niezadowolonej potrosze; wzięli jednak pieniądze i poszli.

Przedtem jednak jeden z nich odwołał mnie na stronę i wskazując palcem na kołyskę, rzekł:

— Jeżeli to panny dziecko, to radzę je stąd zabrać, nie zwlekać — rozumie panna?

Zostałam jeszcze parę godzin, bo mnie kaszel dziecka rierokoił, i odchodząc, wciąż tym kaszlem zatrwożona, uczyniłam to, z czem wstrzymywałam się dotąd: zostałam mój adres, na wypadek, gdybym była nagle potrzebna.

**Kazimierz Trenerowski**  
**FABRYKA i MAGAZYN MEBLI**  
 Warszawa, Wspólna № 50. Telefon 22-95.

„MODES AUX ELEGANTES” **PL. SASKI 5.**  
 Tel. 35-31.

**APTEKA K. WENDY** Krak.-Przedm. 45. Wszelkie nowe środki lekar-  
 skie do użycia wchodzące  
 Telefon 107.

  
 Bryczek, Wo-  
 lantów, Kur-  
 sówek, Koszy-  
 ków dwukół-  
 tek wielki wy-  
 bór gotowych,  
 oraz fabryka przyjmuje powozy do  
 odnowienia. Wyrabia: Koła, furgony,  
 platformy i t. p. Warszawa,  
 Szpitalna № 10 — Jamiołkowski.

PŁYTY GRAMOFONOWE  
**SYRENA GRAND-REKORD**  
 Dostać można wszędzie

dla **KASZLACYCH**  
 EKSTRAKT i  
 KARMELKI  
**LELIWA**  
 POLECAMY JAKO JEDYNY KRAJOWY  
 ŚRODEK EGZYSTUJĄCY  
 OD 1884 R.  
 SPRZEDAŻ W APTEKACH i  
 SKŁADACH APTECZNYCH

**NICI** Towary Norymberskie, Galanteryjne, Roboty ręczne  
 polca **Albert Sperlich**, Jerozolimska 19,  
 długolentni współpracownik firmy **A. LUDWIG**. (róg Brackiej).

**S. HISZPANSKI** sz SZEWC sz  
 Męski i Damski  
 Warszawa, Krak. - Przedm. № 7  
 Istnieje od 1838 roku. 9221

Gorąco polecamy Szanownym naszym  
 Czytelnikom  
 biedną 7-letnią sierotę, kalekę,  
 której do chodzenia niezbędny jest  
 aparat. Ofiary prosimy nadsyłać do  
 Administracji dla „Józi”.

ZEGARKI

**„Omega”**  
 Złote, srebrne i stalowe.  
 9341

„OMEGA” rozpowszechnia  
 się z szaloną szybkością.


Dostać można w lepszych  
 składach zegarmistrzow-  
 skich w Warszawie.



**ASTHMIN-  
 MOTOR**

w formie papierosów albo tytoniu  
 usuwa szybko napady duszności  
 i wszelkie objawy astmy.

SKŁAD GŁÓWNY: WARSZ. TOW. AKC. MOTOR  
 Ładac w aptekach i składach aptecznych.



**Pracownia Współdzielcza ubiorów kobiecych i dziecięcych.**  
 KRUCZA № 19 m. 59.  
 Przyjmuje wszelkie zamówienia na roboty uowe, otwiera specjalny dział  
 Przerabiania rzeczy zużytych, odświeżania ich, naprawiania biał-  
 łyzny osobistej i stołowej,  
 PO CENACH MOŻLIWIE NAJNIŻSZYCH.  
 Posiada na składzie gotowe mundurki i fartuszki dla pensjonarek.


 Wydawnictwo na czasie

KAZIMIERZ EHRENBERG

**Czasy terażniejsze**

Książka niezbędna dla każdego, kto pra-  
 gnie dokładnie zorientować się w obec-  
 nej sytuacji europejskiej.

Gena 2 rb. 20 kop., z przesyłką 2 rb. 50 kop.

**Dla prenumeratorów „Świa-  
 ta” cena wyjątkowo zniżo-  
 na na 1 rb. 50 kop. z prze-  
 syłką pocztową 1 rb. 80 kop.**

Zamówienia wprost do Administracji  
 „Świata” ul. Zgoda № 1.

Za zaliczeniem nie wysyła się.

Magazyn  
 obuwia mechanicznego  
 MARKI: **„SŁOŃ”**  
 MARSZAŁKOWSKA № 154

POLECA **Nowości sezonowe!!!**  
 Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie  
**MARYI NOWORYTO**  
 8142 byłej nauczycielki  
 CHMIELNA № 30.  
 Poleca: nauczycielki, bony, polki,  
 francuzki, angielski, niemcki.